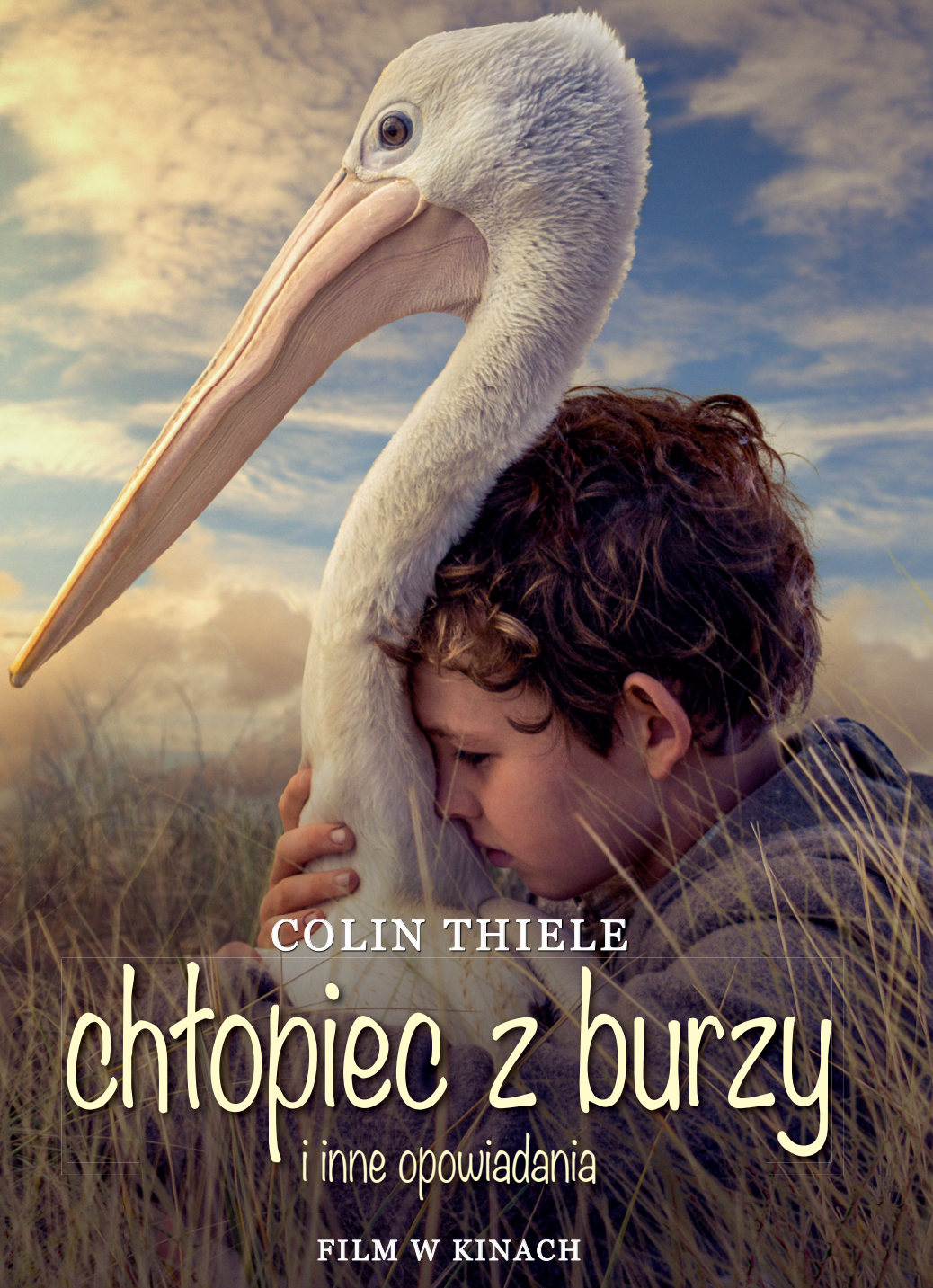


Przyjaźń dodaje skrzydeł!



COLIN THIELE

chłopiec z burzy

i inne opowiadania

FILM W KINACH

Chłopiec z Burzy mieszkał pomiędzy rezerwatem Coorong a morzem. Jego domem był długi, długi pas piaszczystych wydmy i buszu, który zakręca na południowy wschód od ujścia rzeki Murray. To dziki skrawek lądu, wietrzny i porośnięty rzadką trawą, obmywany płytkimi wodami laguny Coorong z jednej strony i huczącym przestworem Oceanu Południowego z drugiej. Nazywają go Stupięćdziesięciokilometrową Plażą. Fale pędzą przez tysiące kilometrów wokół zimnego, mokrego podbrzusza świata i kiedy docierają do brzegu, załamują się w strasliwym chaosie rozbryzgów i białej piany. Przez cały dzień i całą noc przewalają się z donośnym grzmotem. A kiedy zrywa się wiatr, wzbija piasek z plaży i biała piana wlatuje i wije się w powietrzu niczym węże z soli.

Chłopiec z Burzy mieszkał z ojcem, Tomem Odludkiem. Ich domem była mała, prymitywna chałupka sklecona z gałęzi, patyków i rozplaszczonych kawałków blachy ze starych puszek. Miała podłogę z ubitej ziemi, dwa mętne kawałki szkła zamiast okien i krzywy komin zrobiony z rury od piecyka i z drutu. W lecie było tam gorąco, w zimie zimno, a kiedy potężne sztormy przyginały

do ziemi turzycę i szarpały krzaki, cała chata się trzęsła. Ale Chłopiec z Burzy był tam szczęśliwy.

Odludek był spokojnym, samotnym człowiekiem. Przed laty, kiedy matka Chłopca z Burzy umarła, opuścił Adelaide i zamieszkał nad morzem jak pustelnik. Ludzie patrzyli na niego z góry, kiedy się o tym dowiedzieli, i nazywali go plażowym zbieraczem. Mówili, że to źle zabierać czteroletnie dziecko w takie dzikie, samotne miejsce. Ale Chłopiec z Burzy i jego ojciec nie przejmowali się tym. Obaj byli szczęśliwi.

Rzadko widywali innych ludzi. Czasami wypływali na Coorong w swojej małej żaglówce, mijali dziwaczną zatoczkę ujścia Murray, mijali wysepki i porośnięte trzcina odnogi słodkowodnych kanałów, mijali pelikany, ibisy i wysokie białe żurawie, aż w końcu dopływali do miasteczka o nazwie brzmiącej jak krzyk wodnego ptaka – Goolwa! Tam ojciec Chłopca z Burzy kupował torby i puszki z jedzeniem, zwoje liny i żyłki wędkarskiej, nowe koszule i sandały, naftę do lamp oraz mnóstwo innych paczek i pudeł, aż mała łódka była wyładowana po brzegi.

Ludzie na ulicy gapili się na nich ciekawie i tręcali się łokciami. „To jest Tom – mówili – ten odludek, zbieracz plażowy z wybrzeża. Dla odmiany wytknął nos ze swojej kryjówki”. W końcu zaczęli go nazywać „Odludek” i nikt już nawet nie pamiętał jego prawdziwego nazwiska.

Chłopiec z Burzy zdobył swój przydomek w inny sposób. Pewnego dnia kilku obozowiczów przeszło przez busz na drugą stronę Coorong. Spuścili łódkę na wodę i popłynęli na plażę

nad oceanem. Ale w ciągu dnia na zachodzie zebrały się czarne burzowe chmury; kłębiły się i kotłowały nad wyspą Kangaroo i przylądkiem Jervis, przepłynęły nad wyspą Granite, nad Bluff i Port Elliott, aż uderzyły w zaskoczonych ludzi piorunami i czarnym deszczem. Obozowicze pobiegli z powrotem przez wydmy, w deszczu i mroku. Nagle jeden z nich zatrzymał się i wskazał coś przez lukę w tumanie mgły.

– Rany Julek! Patrzcie! Patrzcie!

Po plaży wędrował samotnie mały chłopiec. Wydawał się całkiem spokojny i zadowolony. Co jakiś czas zatrzymywał się, żeby podnieść muszelkę albo zagadać do albatrosa stojącego smętnie na mokrym piasku, ze złożonymi skrzydłami i głową wystawioną na wzmagający się wiatr.

– Na pewno się zgubił! – zawołał obozowicz. – Szybko, zabierzcie moje rzeczy do łódki! Pobiegnę i go uratuję!

Ale kiedy się odwrócił, chłopiec zniknął. Nigdzie nie mogli go znaleźć. Wrócili w ulewnym deszczu i podnieśli alarm, jak tylko dotarli do miasteczka.

– Szybko, tam jest mały chłopiec, który zabłądził na plaży! – wołali. – Pospieszcie się, bo będzie za późno, żeby go uratować.

Ale poczmistrz w Goolwa tylko się uśmiechnął.

– Nie martwcie się – powiedział. – To dzieciak Toma Od-ludka. On jest waszym chłopcem z burzy.

I odtąd wszyscy go tak nazywali.

W okolicy mieszkał tylko jeden człowiek, Bill Kościany Paluch. Był żylastym, zasuszonym Aborygenem z oślepiająco białymi zębami i wesołą czarną twarzą, pomarszczoną i pofałdowaną jak stary but. Miał chałupkę nad brzegiem Coorong, jakieś półtora kilometra dalej.

Kościany Paluch wiedział najwięcej ze wszystkich ludzi, jakich znał Chłopiec z Burzy. Potrafił wskazać rybę w wodzie i ptaka na niebie, kiedy nawet Odludek nic nie widział. Umiał przepowiadać wiatr i pogodę z morza i chmur. I potrafił odczytać każde dziwaczne pismo na wydmach i plaży – historie nagryzmowane przez myszy i żuki, i jamraje, i mrówkojady, i kraby, i ptasie łapki, i tajemnicze brzuchy pełzające w nocy. Wkrótce Chłopiec z Burzy nauczył się tyle, że wystarczyłoby na setkę książek.

W chałupie Kościany Paluch przechowywał chaotyczną kolekcję: żelazne haczyki, siatkę drucianą, drewno wyrzucone przez morze, skrawki skóry, kawałki mosiądzu, wiosła do łodzi, blaszane puszki, liny i podarte koszule, a także stary garłacz. Był z niego bardzo dumny, ponieważ broń wciąż strzelała. Ładowało się ją od przodu. Kościany Paluch wsadzał do lufy porcję prochu, po czym wypychał tam cokolwiek i uszczelniał przybitką. Raz znalazł dużą szklaną kulkę i przestrzelił nią na wylot drewnianą skrzynię, by udowodnić, że garłacz jest sprawny. Ale Chłopiec z Burzy tylko raz widział, jak Kościany Paluch coś nim zabił – kiedy wąż tygrysi wypełznął z trawy na brzeg niczym cienki strumyk czarnego szkła, pręgowany rozpalonymi do czerwoności węglami. Kiedy gad prześlizgnął się po wodzie w stronę łodzi, Kościany Paluch chwycił garłacz. Strzał rozerwał węża na strzępy.

– Zły facet numer jeden, tygrysi wąż – powiedział Kościany Paluch. – Zabij go na śmierć!

Chłopiec z Burzy nigdy nie zapomniał. Przez następne dni każdy patyk, który zobaczył, powoli roztopiał się w czarne szkło i odpętał.

Z początku Odludek bał się, że syn zabłądzi. Brzeg ciągnął się dalej i dalej na sto pięćdziesiąt kilometrów, a każda wydma, krzak i kępka trawy były podobne do innych, więc chłopiec, który nie nauczył się uważnie czytać plaży, mógł wędrować tam i z powrotem całymi godzinami i daremnie szukać drogi powrotnej do domu. Odludek potrzebował więc znaków rozpoznawczych.

Pewnego dnia znalazł duży bal, leżący na plaży wśród drewna wyrzuconego przez morze. Fala zmyła go z pokładu przepływającego statku. Był prawie równie gruby i mocny jak słupy podtrzymujące molo. Odludek i Kościany Paluch zaciągnęli go mozolnie na szczyt wydmy w pobliżu chaty. Tam Odludek zrobił w drewnie kilka nacięć na stopnie i przymocował do niego małą poprzeczkę. Potem wykopali głęboki dół, ustawili w nim pał pionowo i mocno udeptali piasek dookoła.

– Proszę – powiedział Odludek. – Teraz zawsze będziesz widział Strażniczy Słup. Zobaczysz go z daleka na plaży i nigdy nie zabłądzisz.

*

Z biegiem lat Chłopiec z Burzy nauczył się wielu rzeczy. Wszystkie żywe stworzenia były jego przyjaciółmi – to znaczy

wszystkie oprócz tych długich, wąskich facetów, którzy ślizgali się przez piasek i turzycę jak szkło.

W jamie na końcu rozpadliny pod kępką trawy znalazł Czarodziejską Panią Pingwinową, spoglądającą płochliwie na dwa białe jajka. A kiedy wykluły się dwa pisklaki, wyglądały jak dwie kulki ciemnego puchu, miękkiego niczym mgła.

– Dzień dobry, Pani Pingwinowo – witaj ją Chłopiec z Burzy każdego dnia. – Jak tam dzisiaj pani dwa puszki?

Czarodziejska Pani Pingwinowa nie miała nic przeciwko niemu. Zamiast syczeć i go dziobać, siedziała statecznie na ogonie i spoglądała na niego łagodnymi oczami.

*

Czasami w zagłębieniach za wydmami, gdzie wiatr kopał i przesiewał piach, Chłopiec z Burzy znajdował długie białe sterty muszli morskich i odłamki kamieni, stare jak świat małże i sercówki z krzywiznami, spiralami i ostrymi połamanymi krawędziami.

– Stary śmietnik – wyjaśnił Odludek. – Zostawiony przez Aborygenów.

– Śmietnik?

– Obozowisko, gdzie dawniej rozłupywali skorupiaki.

Kościany Paluch przez długi czas stał i wpatrywał się w wielkie stopy muszli, jakby pogrążony w myślach.

– Czarni ludzie jedzą, robią obóz, dawno temu – powiedział trochę smutno. – Wtedy tu żadnych białych ludzi. Przez setki i setki lat tylko czarni ludzie.

Chłopiec z Burzy patrzył na spiętrzone skorupy i zastanawiał się, jak dawno temu to było. Widział w myślach te obrazy... czerwone płomienie ognisk nad Coorong, czarni ludzie, piosenki, puste muszle odrzucane w ciemność i spadające ze szczękiem na stos. I pomyślał sobie: Gdyby wtedy było teraz, byłbym małym czarnym chłopcem.

Ale głos ojca przywołał go do rzeczywistości. Chłopiec zbiegł na plażę, żeby pomagać wykopywać wielkie sercówki na podwieczorek. A kiedy zebrali dość dla siebie, napełnili następne torby, żeby je zawieźć do Goolwy, bo tam wędkarze i turyści chętnie płacili Odludkowi za świeżą przynętę.

Chłopiec z Burzy stał zgięty niczym podkowa, jakby ktoś miał przez niego przeskoczyć; grzebał palcami w piasku, podczas gdy słone morze przyplętywało i odpływało pod jego nosem. Lubił ten zapach i długi, gładki ślizg fali. Był bardzo szczęśliwy.

Najbardziej ze wszystkiego lubił wędrować plażą po tym, co jego ojciec nazywał Wielkim Wichrem. Wzburzone fale wyrzucały wtedy na brzeg najrozmaitsze skarby. Tam, gdzie szeroki pas plaży błyszczał obmywany odpływem, chłopiec widział morskie cuda jakby rozsypane na tafli szkła – wszelkiego rodzaju wodorosty i barwne listownice, lodowato białe mątwy, jeżowce i rozgwiazdy, martwe koniki morskie, sztywne jak nakrochmalone, i dziesiątki skorupiaków – słuchotki, mitry, wrzeciona, trąbiki o purpurowych krawędziach i inne ślimaki morskie, żebrowane i spiralne wręgi, rozkolce najeżone krezami tępych wypustek, łodziki delikatne jak zamrożona piana i czasami nawet nowa porce-

lanka, lśniąca i wypolerowana, ze spodem gładkim i różowym jak barwiona porcelana.

Miejscami piasek był zmarszczony i pofałdowany w twarde, gładkie fale, jak łuski. Chłopiec z Burzy lubił szurać po nich bosymi stopami w marszu albo balansować poduszkami stóp na ich chłodnych krzywiznach.

Wyrósł silny i zwinny. Przez większość roku nosił tylko szorty, koszulkę i stary sfatygowany kapelusz jak Tomek Sawyer. Ale kiedy znad Antarktydy nadlatywał zimowy wiatr z lodem na języku, który lizał policzki i wygładzał je na zimne płaskie kamienie, chłopiec zakładał jedną z grubych kurtek ojca, sięgającą mu do kostek. Stawiał kołnierz, opuszczał ręce, aż dyndały swobodnie w wielkich kieszeniach, i kiedy znowu wychodził na zewnątrz, było mu ciepło i wygodnie jak ślimakowi w skorupce. Nie mógł wytrzymać w zamknięciu. Za bardzo kochał chłostę wiatru, słońce, piekące rozbryzgi na policzkach i niekończący się syk fal umierających u jego stóp.

Bo Chłopiec z Burzy był dzieckiem burzy.

*

W pewnej odległości od miejsca, gdzie Odludek i Kościany Paluch zbudowali swoje chaty, cały obszar Coorong i ład dookoła zmieniono w rezerwat. Nikomu nie wolno tam było krzywdzić ptaków. Nie wpuszczano tam myśliwych ze strzelbami, sieciami, przynętami czy pętlami z drutu, a nawet psów.

Toteż nad wodą i na brzegach trzepotało niezliczone mnóstwo skrzydeł. Wczesnym rankiem wysokie ptaki stawały wyprostowa-

ne, klaskały skrzydłami i wznosiły okrzyki na cześć wschodzącego słońca. Zewsząd dochodziły odgłosy kąpieli – radosne pluskanie, chlupotanie i bulgotanie. Zdawało się, że woda zmieniła się w łazienkę długości dziesięciu kilometrów, w której tysiące ptaków starannie płukało gardła i wspólnie puszczało bańki mydlane. Jedne były nad wodą, inne na wodzie, a jeszcze inne pod wodą; a niektóre były w połowie na powierzchni i w połowie pod powierzchnią. Część z nich właśnie wychodziła z kąpieli, a część dopiero dawała nura. Te, co chciały odlecieć, zaczynały rozbieg, kłapiąc po wodzie wielkimi płaskimi stopami, wściekle bijąc skrzydłami i pedałując ile sił. Te, które lądowały, ostro hamowały skrzydłami i rozczapierały wielkie pletwiaste stopy, gotowe do ślizgu po powierzchni.

Wszędzie przecinały się fale, zmarszczki i kręgi na wodzie. Chłopiec z Burzy czuł to podniecenie i zachwyty; często przesiadywał na brzegu cały dzień, z podciągniętymi kolanami i brodą opartą na splecionych dłoniach. Czasami żałował, że nie urodził się jako ibis albo pelikan.

*

Czasami jednak Chłopiec z Burzy widywał rzeczy, które go smuciły. Pomimo ostrzeżeń i zakazów ludzie krzywdzili ptaki. W sezonie łowieckim myśliwi zapuszczali się na Coorong, ścigając ranione kaczki; niektórzy zakradali się do rezerwatu w nocy, strzelali do ptaków o świcie i po cichu się wymykali. Turyści tratowali wszystko na swojej drodze, kopali gniazda i rozbijali jajka. A niekiedy mężczyźni ze strzelbami, którzy uważali się za sportowców,

jeśli nie mogli znaleźć innego celu, zakładali się, że trafią stojącą niewinnie przy brzegu egretę, perkoza czy czaplę. I używali ptaków jako tarcz strzeleckich. A kiedy któregoś trafili, śmiali się, mówili: „Dobry strzał”, po czym odchodzili, porzucając martwego ptaka, któremu wiatr stroszył pióra. Czasami, jeśli nie mieli za daleko, podchodzili do ptaka, przewracali go nogą, a potem po prostu go zostawiali leżącego na grzbiecie.

Kiedy Chłopiec z Burzy pobiegł do ojca, żeby mu o tym powiedzieć, Odludek mruknął coś gniewnie, a Kościany Paluch poklepał swój naładowany garłacz i zawołał:

– Przysiengam, następnym razem nasypiem do niego soli! Jeśli oni tu wrócą, bum, nasypiem im soli na ogon!

Chłopiec z Burzy roześmiał się, a Kościany Paluch błysnął białymi zębami i mrugnął do jego ojca. Żaden z nich nie lubił, gdy chłopiec był smutny.

*

Kiedy Chłopiec z Burzy wędrował po plaży, po wydmach albo po rezerwacie, ptaki się go nie bały. Wiedziały, że jest przyjacielem. Pelikany siedziały rzędem niczym grupa dostojnych starców, z obwisłymi ciężkimi workami, i sucho klekotały dziobami na powitanie; ibisy cięły powietrze na pasy, machając zakrzywionymi dziobami w górę i w dół; a rajski żuraw stał w wyniosłym milczeniu jak wysoki, chudy posąg, gdy chłopiec przechodził obok.

Ale pewnego ranka Chłopiec z Burzy zastał wszędzie zgiełk i zamieszanie. Do rezerwatu wtargnęło kilku młodych mężczyzn.

Znaleźli gniazda pelikanów – duże i nieporządne, z patyków, trawy i piór pelikana, wielkich jak indyjskie pióra – i zabili dwa z wielkich ptaków wysiadujących tam jaja. Potem kopniakami rozwalili wszystko dookoła; śmiejąc się i pokrzykując, podnosili białe jaja i rzucali, aż wszystkie się potłukły. Wtedy odeszli ze śmiechem.

Chłopiec z Burzy, przepełniony strachem i gniewem, podpełznął bliżej i przez chwilę smutno patrzył zza kępy trawy na pobożowisko. Już chciał pobiec do domu i powiedzieć Kościanemu Paluchowi, żeby nabił garłacz solą, kiedy usłyszał słaby szelest i popiskiwanie. Pod trawą i patykami ze zburzonych gniazd kryło się troje małych piskląt pelikana – wciąż żywych. Zabrał je ostrożnie i pospieszył z nimi do domu.

*

Dwójka piskląt wydawała się dość silna, ale trzecie było w rozpaczliwie ciężkim stanie: posiniaczone, pokaleczone i bezradne. Pelikan był tak słaby, że nie mógł nawet podnieść głowy, kiedy go karmiono; opadała na ziemię, gdy tylko Chłopiec z Burzy albo jego ojciec ją puścili.

– Wątpię, czy przeżyje – zawyrokował Odludek. – Jest za mały i zbyt chory.

Nawet stary Kościany Paluch pokręcił głową.

– Tamte złe ludzie zabili dużego pelikana. Teraz ten mały nie pożyje długo.

– On nie może umrzeć! – oświadczył desperacko Chłopiec z Burzy. – Nie może! Nie może!

Owinął małeńkie posiniaczone ciało w szalik ojca i położył je przy ogniu. Przez cały dzień patrzył, jak pisklak leży i tylko chwilami porusza się słabo albo otwiera dziób, żeby wydać krótki bezgłośny krzyk. Co jakiś czas chłopiec sięgał po butelkę oleju z wątroby dorsza, którą kiedyś kupił mu ojciec, i próbował wlać kroplę do gardła pisklęcia.

Nadeszła noc, ale Chłopiec z Burzy wciąż czuwał przy chorym pisklęciu, godzina po godzinie. W końcu Odludek stanowczo kazał mu iść do łóżka. Chłopiec jednak nie mógł spać. Raz po raz wymykał się z łóżka i na palcach podchodził do piecyka, by się upewnić, że mały pelikan ma wystarczająco ciepło.

A rano malec wciąż żył.

Minęły trzy dni, zanim wyzdrowiał na tyle, żeby siadać i prosić o jedzenie. Do tej pory jego dwaj bracia mieli dzioby łapczywie otwarte przez cały czas, chociaż oczywiście byli jeszcze za młodzi, żeby używać worka skórniego do łowienia ryb.

– Myślałby kto, że jestem Dziadkiem Pelikanem – prychnął Odludek. – Ciągłe domagają się ode mnie jedzenia.

– Musisz być dla nich dziadkiem – odparł chłopiec. – Bo ich rodzice nie żyją.

– No, tylko niech sobie nie myślą, że nie mam nic lepszego do roboty, niż łowić dla nich ryby. Popatrz na tego gościa, co siedzi z miną właściciela.

– Och, to Pan Pyszałek – oznajmił Chłopiec z Burzy.

– Jak się pan ma, Panie Pyszałku? – Odludek schylił się i podrapał pelikana po łebku. – A jak się nazywa pana brat?

– To Pan Profesor – powiedział Chłopiec z Burzy. – Jest bardzo poważny i mądry.

– A ten mały? – zapytał ojciec. – Nazywa się Pan Pisk?

– Nie, to Pan Parsifal. – Chłopiec z Burzy ostrożnie podniósł pisklę zawinięte w szalik i położył sobie na kolanach. – Jest bardzo chory.

– Witaj – rzucił Odludek. – A teraz Dziadek Pelikan lepiej pójdzie złowić trochę ryb, bo trzej Panowie P. nie dostaną podwieczorku.

I poszedł do łodzi.

Tak oto Pan Pyszałek, Pan Profesor i Pan Parsifal zamieszkali z Chłopcem z Burzy.

*

Trzy pelikany szybko urosły duże i silne. Ich białe szyje wygięły się wdzięcznie, wola urosły, a górna część dzioba lśniła jak różowa macica perłowa. Każdego ranka rozpościerały wielkie białe skrzydła z wyraźnymi czarnymi krawędziami i wykonywały trzy albo cztery okrążenia wokół chaty i nad pobliską plażą, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku przed nowym dniem. Następnie stwierdzały, że już czas na śniadanie, więc lądowały ciężko obok chaty, robiły kilka dystyngowanych kroków do przodu i ustawiały się rzędem przy tylnych drzwiach. Jeśli Odludek i Chłopiec z Burzy jeszcze spali, trzy ptaki stały grzecznie przez chwilę, czekając na jakiś ruch czy słowa powitania. Jeśli jednak nic się nie działo, po pięciu czy dziesięciu minutach Pan Pyszałek

i Pan Profesor zaczynali się niecierpliwić i klekotać dziobami z dezaprobatą – łupu-cupu, trzasku-prasku, odgłos jak trzeszczenie suchego sitowia – aż ktoś się obudził.

– Już dobrze, dobrze! – mówił sennie Chłopiec z Burzy. – Słyszę cię, Panie Pyszałku!

Siadał i spoglądał na trzech dżentelmenów, ustawionych jak na paradzie.

– Wiem, co sobie myślisz, Panie Profesorze. Porządni ludzie powinni już wstać.

– Porządne pelikany powinny same sobie złować śniadanie, zamiast żebrać u przyjaciół – burknął Odludek.

I powtarzał to z coraz większym naciskiem. W końcu powiedział surowo do syna:

– Pan Pyszałek, Pan Profesor i Pan Parsifal będą musieli wrócić do rezerwatu, skąd pochodzą. Nie stać nas, żeby ciągle ich karmić.

Chłopiec z Burzy posmutniał, ale zawsze wiedział, kiedy ojciec podjął ostateczną decyzję.

– Tak, tato – powiedział.

– Wsadzimy je w duże kosze na ryby i zawieziemy je łodzią – dodał ojciec.

– Tak, tato – powtórzył chłopiec i zwiesił głowę.

Więc złapali najpierw Pana Pyszałka, a potem Pana Profesora, przycisnęli im skrzydła do boków i wsadzili do koszyków na ryby. Ani Pan Pyszałek, ani Pan Profesor nie byli tym zachwyceni. Krakali głośno na Odludka, gniewnie stroszyli zmierzwione pióra i łypali żółtymi oczami przez szpary w wiklinie.

– Ha! – zaśmiał się Odludek. – Obraziliśmy tych dwóch dżentelmenów. Nie szkodzi, to dla ich dobra.

I uklonił się najpierw Panu Pyszałkowi, a potem Panu Profesorowi.

Ale kiedy przyszła kolej Pana Parsifala, Chłopiec z Burzy nie mógł patrzeć, jak jego też zamykają w koszu. Od czasu swojego cudownego ocalenia Pan Parsifal był ulubieńcem Chłopca z Burzy. Zawsze był spokojniejszy, łagodniejszy i bardziej ufny od swoich dwóch braci. Chłopiec wziął go na ręce, wygładził mu skrzydła i mocno przytulił.

– Biedny Pan Parsifal – szepnął.

Podniósł wzrok na ojca.

– Będę trzymał Pana Parsifala – obiecał. – Mogę, tato?

– Och, no dobrze – zgodził się Odludek i podniósł dwa kosze. – Chodź, pora na nas.

*

Odludek odpłynął osiem kilometrów w głąb rezerwatu, zanim zatrzymał łódź.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił w końcu.

Otworzył dwa kosze i wyciągnął Pana Pyszałka i Pana Profesora.

– No, lećcie! Teraz musicie sami się o siebie troszczyć – powiedział i zepchnął ich z łodzi.

Pelikany wzbiły się w powietrze, zatoczyły szeroki łuk i skierowały się do brzegu.

– Teraz Pan Parsifal – rozkazał Odludek.

Chłopiec z Burzy przytulił głowę do głowy Pana Parsifala i po raz ostatni lekko uściśnął przyjaciela.

– Żegnaj, Panie Parsifalu. – Musiał przerwać, bo coś mu utkwilo w gardle. – Bądź... bądź dobrym pelikanem, Panie Parsifalu, i uważaj na siebie.

Przeniósł go nad burtą łodzi i położył na wodzie jak dużą gumową kaczkę. Przez chwilę Pan Parsifal wydawał się zdumiony i urażony, unosząc się w górę i w dół na falach. Potem rozpostarł wielkie skrzydła, zaczął mocno pedałowac nogami i powoli wzniósł się nad wodę.

Chłopiec z Burzy otarł oczy knykciami i odwrócił wzrok. Nie chciał, żeby ojciec widział jego twarz.

*

Odludek i jego syn spędzili ten dzień na łowieniu ryb. Dzień był ładny i słoneczny, ale wydawał się jakiś zimny. Przez większość czasu siedzieli w milczeniu w podskakującej łódce, ale Chłopiec z Burzy zdawał sobie sprawę, że ojciec wie, o czym on myśli. Od czasu do czasu Odludek patrzył na niego dziwnie, a raz nawet odchrząknął porządnie, spojrzał ponad wodą i odezwał się sztucznie wesołym głosem:

– No, ciekawe, jak tam sobie radzą trzej Panowie P. Na pewno są w siódmym niebie!

Popatrzył dość żałośnie na syna i wrócił do łowienia.

– Tak, na pewno – powtórzył Chłopiec z Burzy i też smętnie wrócił do łowienia.

Pod wieczór spakowali się i ruszyli do domu.

Słońce rzucało milion złotych luster na powierzchnię wody. Płonęło na nagich wierzchołkach wydm, rozświetlało krzaki i kępy trawy, aż każde źdźbło i każda gałązka jarzyły się różowym blaskiem. Mała żaglówka podpłynęła do brzegu, ślizgając się na chlupoczących falach.

Nagle Chłopiec z Burzy podniósł wzrok.

– Patrz, tato! Patrz! – krzyknął.

Odludek wyciągnął łódź na brzeg i spojrzał w stronę, którą wskazywał syn.

– Co?

– Patrz! Patrz! – powtórzył Chłopiec z Burzy.

Wysoko na niebie, na szczycie wielkiej wydmy stał Strażniczy Słup, który Odludek i Kościany Paluch postawili tam przed laty. A na samym czubku słupa tkwił duży kształt. Siedział całkiem nieruchomo: posąg na kolumnie, kamienny ptak.

Nagle, jakby usłyszał zdumiony okrzyk Chłopca z Burzy, rozpostarł wielkie skrzydła i wzbił się w powietrze. Kiedy zatoczył krąg na tle zachodzącego słońca, jego dziób i potężne skrzydła z czarnymi końcami zajaśniały w ukośnych promieniach światła. Przez mgnienie wyglądał jak czarodziejski ptak. Chłopiec z Burzy puścił się biegiem, wyciągając szyję, wrzeszcząc i wymachując rękami.

– Pan Parsifal! To Pan Parsifal! Pan Parsifal wrócił do domu!

To było radosne spotkanie. Nawet Odludek w głębi duszy cieszył się z powrotu Pana Parsifala.

– Tak, on chyba może tu mieszkać – powiedział. – Pod warunkiem że Pan Pyszałek i Pan Profesor nie wrócą razem z nim. Apetyt jednego pelikana wystarczy aż nadto; nie damy rady wykarmić trzech.

I chociaż Chłopiec z Burzy kochał też Pana Pyszałka i Pana Profesora, miał wielką nadzieję, że zostaną w rezerwacie.

I zostały. W następnych dniach czasami przelatywały nad chatą albo nawet na chwilę przysiadły na plaży, w końcu jednak zawsze wracały do rezerwatu.

Ale nie Pan Parsifal. On nie odstępował Chłopca z Burzy na krok.

*

Gdziekolwiek szedł Chłopiec z Burzy, Pan Parsifal podążał za nim. Jeśli chłopiec zbierał muszelki na plaży, pelikan mu towarzyszył, albo człapiąc dostojnie obok na płetwiastych łapach, albo krążąc powoli nad jego głową. Jeśli chłopiec pływał, zjeżdżał po zboczach wydm albo bawił się w piasku, Pan Parsifal wyszukiwał w pobliżu dobry punkt obserwacyjny i siadał tam ciężko, żeby patrzeć i czekać, aż zabawa się skończy. Jeśli chłopiec łowił ryby czy wiosłował na Coorong, Pan Parsifal krążył nad nim wesoło z szyją wygiętą do tyłu i piersią wypiętą do przodu, niczym drakkar żeglujący spokojnie przez morze powietrza. Jak tylko zobaczył, że chłopiec rzuca kotwicę, pikował w dół długim ześlizgiem, otrzą-

sał i składał skrzydła, a potem pogodnie kołysał się na falach w odległości paru metrów.

– Och, Panie Parsifalu, z pana to wspaniały stary dżentelmen – mówił Odludek, śmiejąc się. – Powinien pan nosić cylinder albo może koloratkę i okulary. Wtedy mógłby pan wygłaszać kazania albo prowadzić lekcje w szkółce niedzielnej.

Ale Pan Parsifal tylko przechylał głowę na bok i czekał, aż Odludek rzuci mu kawałek ryby – albo dwie lub trzy całe ryby, które połykał do wola.

*

Kościany Paluch i Odludek byli zadowoleni, że Chłopiec z Burzy znalazł sobie Pana Parsifala.

– Nawet lepszy niż pies obronny – powiedział Kościany Paluch. – Nie biega dobrze, ale umie latać.

– Umie nawet aportować jak pies – dodał Odludek. – Tylko popatrz!

Mówił prawdę. Po raz pierwszy odkryli, jakim dobrym łapaczem jest Pan Parsifal, kiedy Chłopiec z Burzy bawił się piłką na plaży. To była czerwono-żółta piłka, którą ojciec przywiózł mu z Goolwy. Pewnego razu, kiedy Chłopiec z Burzy rzucił ją mocno, odbiła się i pokoziołkowała w stronę Pana Parsifala.

– Uważaj! – krzyknął chłopiec.

Ale pelikan nie uważał. Zamiast tego zrobił dwa czy trzy szybkie kroki i złapał piłkę do wola. Chłopiec z Burzy przeraził się śmiertelnie. Dysząc, podbiegł do Pana Parsifala.